

KOCHAM teatr

Cohen

ROMAN PAWŁOWSKI



Aktor, który chce się odgryźć krytykowi za niepochlebną recenzję, chwytą się w desperacji zazwyczaj jednego, za to wymownego argumentu: że mianowicie krytyk krytykuje z zawiści, bo sam chciałby stanąć na scenie, ale nie może, bo brak talentu mu nie pozwala.

W związku z czym mści się na tych, którzy talent niewątpliwie posiadają.

Długo zwalczałem tę uporczywą bzdurę,

równie prawdziwą jak twierdzenie, że każdy aktor jest niespełnionym krytykiem. Ale po premierze spektaklu „Cohen” w reżyserii Krzysztofa Zaleskiego w Romie jestem zmuszony skapitulować.

Tak, Panie i Panowie, macie mnie w garści! Istotnie moim marzeniem przez długie lata było zaśpiewać pieśni Leonarda Cohena na scenie, w świetle reflektorów, tak jak Wy to robicie.

Na swoje usprawiedliwienie mogę tylko powiedzieć, że moje marzenie się spełniło. W początkach lat 80. założyliśmy z przyjaciółmi grupę muzyczną, która specjalizowała się w repertuarze amerykańskiego barda. Graliśmy koncerty w klubach studenckich, a w 1983 r. pojechaliśmy do Krakowa na I Festiwal Pieśni Leonarda Cohena, na którym zdobyliśmy pierwszą nagrodę. Przyznał nam ją Maciej Zembaty, tłumacz i odkrywca Cohena, nasz ówczesny guru.

Sądzę, że osiągnęliśmy w tej dziedzinie wszystko,

no, może poza występem przed samym mistrzem,

ale o tym w czarną noc komunizmu nawet nie było co marzyć.

Cohen to kawałek mojego życia, na jego piosenkach uczyłem się nie tylko, jak trzymać gitarę, ale także jak żyć, że uderzę w spizowane tony.

„Partyzant” był moim manifestem politycznym, „Song o Izaaku” wyznaniem wiary, „Siostry miłosierdzia” śpiewałem swoim dziewczynom, może nie do końca zdając sobie sprawę, że to piosenka o prostytutkach.

Dlatego kiedy słucham, jak Piotr Machalica subtelnie interpretuje „Słynny niebieski prochowiec” jako zwierzenia mężczyzny po przejściach, jak Katarzyna Groniec z wdziękiem wydobywa szaleństwo bohaterki pieśni „Suzanne”, jak Krzysztof Wakuliński odgrywa pijackie uniesienie w utworze „Alleluja”, jak Dariusz Kordek zręcznie naśladuje gwiazdy epoki rock’nd’rolla w piosence „Jestem twój”, jak zespół Janusza Bogackiego z wirtuozerią wykonuje jazzowo-bluesowe aranże – widzę i słyszę co innego. Widzę zatłoczoną duszną salę akademickiego klubu, słyszę lekko rozstrojone gitary i czuję atmosferę wtajemniczenia w życie i poezję takiego, jakiego w sali Romy nigdy nie będzie, nawet jeśli każdemu widzowi podadzą nie jedną, ale pięć wódek, a klimatyzacja przestanie działać.

Tak, Panowie i Panie, ja wiedziałem, jak zrobić lepiej to, co Wy robicie tylko dobrze, wiedziałem, jak poruszyć struny, żeby do końca życia już brzmiały. Ja wiedziałem, wierzcie mi. Tylko zapomniałem.